

**Judith Flanders**

**ŻYCIE CODZIENNE  
W LONDYNIE DICKENSA**

przekład Tomasz Fiedorek



**Państwowy Instytut  
Wydawniczy**

1810: PSIKUS NA BERNERS STREET

Wczesnym rankiem pewnego listopadowego dnia 1810 roku, długo przed śniadaniem, do drzwi sutereny szanowanego domu przy Berners Street, tuż na północ od Oxford Street, zapukał kominiarz. Twierdził, że wezwano go pod ten adres. Zdumieni jego przybyciem mieszkańcy odparli jednak, że nie potrzebują jego usług i zatrzasnęli drzwi. To była ostatnia chwila spokoju, jakiej mieli zaznać tamtego dnia – wkrótce dom zaczęły bowiem oblegać tłumy kominiarzy, zgodnie twierdzących, iż zostali wezwani. Następnie pojawiły się dziesiątki wozów z węglem, których woźnice także zapewniali, że zamówiono u nich dostawę. Po nich zaczęły nadciągać tabuny sprzedawców ryb ze świeżym połowem, twierdząc, że towar zamówiła u nich właścicielka domu, niejaka pani Tottenham.

W ślad za nimi pojawiły się „dziesiątki fortepianów i wozów z węglem – 2500 placków z malinami dostarczonych ze stu ciastkarni – zespół chirurgów – batalion lekarzy i legion aptekarzy – zakochani szukający swych ukochanych i damy szukające kochanków – tapicery gotowi upiększać czyjeś domy i architekci pragnący je budować – dwukółki, dokarty i karety w liczbie wystarczającej do przewiezienia połowy ziemian z [hrabstwa] Middlesex do [przedmieścia] Brentford”. Zanim ta horda zdażyła się rozejść, na miejsce zaczął płynąć niekończący się strumień kolejnych handlarzy, rzemieślników i innych osób oferujących swe usługi:

*To na jej nazwisko wezwał ich jakiś wandal,  
(Po prawdzie, muszę przyznać, że to straszny skandal)*

*Tych kapeluszników, win sprzedawców, prawników, muzyków,  
Okulistów, węglarzy, cyrulików, optyków,  
Elegantów, kucharzy, kominiarzy, lekarzy,  
Cukierników, ryb handlarzy, oberżystów, piekarzy,  
Akuszerów i mężczyznę, co niedźwiedzia ma,  
I lorda burmistrza, to rzecz najgorsza.  
Błagano ich gorąco, by przybyli na miejsce,  
Dokładnie o drugiej lub odrobinę wcześniej,  
Lekarze z cewnikami pierwsi przybywają  
Czy pacjent jeszcze żyw, niecierpliwie pytają.  
Wtem przed sługą dziesięć akuszerów wyrasta,  
I pyta, „Czy w tym domu rodzi niewiasta?”  
„Mam coś – woła ktoś – dla tej martwej białogłowy,  
„Pan mój już wiezie tutaj trumnę z ołowiu”.  
Następny pojawia się furgon z meblami,  
Sześć wozów żałobnych i karawan z piórami  
Delicji sześć koszy – cukru, herbaty, fig;  
Dziesięć furgonów z piwem – peruk dwadzieścia skrzyń,  
Wina koszy pięćdziesiąt, bagietek całą masę,  
Piętnaście fur najlepszego węgla z Newcastle –  
Żart ze wszystkich największy, to przepyszna karetta,  
Czcigodnego burmistrza, co też tutaj przyjechał;  
Gdy jechała ulicą, tłum aż za nią ujadał,  
Jego lordowska mość był rad i się kłaniał,  
Nieborak przypuszczał, że tłum go pozdrawiał...*

Długie sznury powozów wiozły miejskich dygnitarzy, którzy w komplecie otrzymali zaproszenie na przyjęcie. Byli więc przewodniczący Rady Dyrektorów Brytyjskiej Kompanii Wschodnioindyjskiej i prezes Banku Anglii, którym obiecano informacje na temat rzekomych oszustw popełnionych na szkodę ich spółek. Nie pominięto nawet rodziny królewskiej – na miejsce przybył książę Gloucester, aby wysłuchać ostatecznego wyznania leżącego na łożu śmierci sędziwego lokaja<sup>1</sup>.

Na ulicy kłębił się tłum ludzi. Początkowo złościł się z powodu zmarnowanego czasu i pieniędzy, lecz ich gniew stopniowo opadał, gdy odesłani z kwitkiem przystawali na chwilę, aby obejrzeć kolejną grupę nowo przybywających w nadziei na zarobek, co wywoływało salwy śmiechu. Lord burmistrz nie był jednak rozbawiony. Odjechał na posterunek policji przy Marlborough Street, żeby złożyć skargę przed sędziami pokoju.

[...]jego lordowska mość do żartów nieskory [...].  
 Po prawdzie był to wstyd (mimo, że to dowcip)  
 Lorda tego miasta tak okrutnie okpić [...]  
 Lord w końcu odjechał, wśród tysięcy widzów,  
 Ludzie się rozeszli i skończył się psikus.

Sędziowie pokoju nakazali podległym sobie funkcjonariuszom rozproszyc tłum, ale zanim zdołano tego dokonać, na miejsce przybyło jeszcze więcej ludzi. Tym razem była to wielka liczba służących, którzy otrzymali listy z propozycją objęcia posady. Dopiero długo po zapadnięciu zmroku panią Tottenham zostawiono wreszcie w spokoju<sup>2</sup>.

Prawie od samego początku wtajemniczeni podejrzewali, że był to dowcip Theodore'a Hooka, kompozytora, pisarza specjalizującego się w farsach i bywalca spotkań towarzyskich. Obecnie za jego główny powód do chwały uchodzi fakt, że jedna z jego sztuk teatralnych została sparodiowana przez Byrona w satyrze zatytułowanej *Angielscy bardowie i szkoccy recenzenci*, ale w swoim czasie autor *Tekeliego* cieszył się sporą sławą, którą w jednakowym stopniu zawdzięczał swemu pisarstwu, co dokonywanym psikusom i figlom. Natychmiast rozeszła się więc pogłoska, przypisująca nowy kawał Hookowi, który jakoby rozesłał setki – a zdaniem niektórych nawet tysiące – listów, zamawiając w nich rozmaite towary i usługi oraz odpowiadając na ogłoszenia w sprawie rzeczy zagubionych lub znalezionych, aby skierować wszystkich zainteresowanych na Berners Street 54. Sam wcześniej miał wynajmować pokoje w domu stojącym po drugiej stronie ulicy, aby stamtąd razem z przyjaciółmi wygodnie obserwować całą tę hecę<sup>3</sup>.

Nancy Mathews, żona aktora Charlesa Mathewsa i wielka przyjaciółka Hooka, już po jego śmierci twierdziła jednak, że to nie on był autorem tego oszustwa. Zapewniała, że psikus został „wymyślony i urządzony przez pewnego młodego dzentelmena, obecnie wysokiego dostojnika kościelnego, który należy do najsurowszych w królestwie”. (Opowieść o anonimowej osobie zawsze brzmi trochę podejrzanie, ale warto zauważyć, że brat Hooka, który do tamtego czasu także zmarł, był dziekanem kościelnym Worcester, a syn dziekana był wysokim dostojnikiem Kościoła anglikańskiego o zdecydowanie torysowskich sympatiach). Zdaniem pani Mathews najistotniejszy w tej całej sprawie był jednak fakt, że opisany tutaj słynny figiel wcale nie był oryginalny. Twierdziła ona, że Hook co prawda nie spłatał psikusa na Berners Street, ale był sprawcą wcześniejszego kawału,

**34** który zgodnie z jej relacją miał miejsce na Bedford Street. Jak twierdziła, pisarz tygodniami wytrwale odpowiadał na ogłoszenia drobne w gazetach: „cokolwiek z g u b i o n o , zostało odnalezione przez pana --- z Bedford Street. Cokolwiek odnaleziono, zostało zgubione przez pana --- z Bedford Street. Każdy służący szukający pracy mógł być pewny, że znajdzie doskonałą posadę w rodzinie pana --- z Bedford Street. Jeśli ktoś chciał o d k o g o ś pożyczyć pieniądze, mógł to uczynić na jak najmniejszy procent, u pana --- z Bedford Street. Jeśli ktoś chciał pożyczyć pieniądze k o m u ś , mógł to uczynić na jak najkorzystniejszych warunkach, udzielając kredytu panu --- z Bedford Street”<sup>4</sup>.

Jak było do przewidzenia,

następnego dnia, punktualnie niczym kochanek, przyszli [...] u c z c i w i l u d z i e , prowadząc zwierzęta, które z n a l e ż l i , w nadziei na otrzymanie nagrody [...] i zrozpaczeni właściciele zaginionych zwierzaków domowych, liczący na ich odzyskanie. Mężczyźni i pokojówki [...] żądni „posadek” – zebrali się w takiej liczbie, że nie zostało już więcej miejsca [...] wkrótce nadjechały powozy z licznymi zaprzęgami [...] w tym wiele załadowanych węglem, mozolnie podążając wąską, spadzistą ulicą, a za nimi te przewożące fortepiany – skrzynie ze szkłem i porcelaną [...] zwoje dywanów – ziemniaki i drewno na opał [...] tace pełne żółwi – worki z mąką – pakunki flaneli i płótna – skrzynie i kufrы wszelkich rozmiarów – rydwany i konie – osły – psy – wozy z beczkami piwa i tace pełne mięsa – słodycze i książki – taczki, instrumenty chirurgiczne i wyżymaczki – poście bekonu – buty i trzewiki – łuki i strzały – strzelby i pistolety itp., itd.

Tak jak później przy Berners Street, gdy psikus wyszedł na jaw, początkowo wszyscy byli wściekli, ale nastrój tłumu wkrótce się zmienił i każdy z oszukanych został na miejscu dla samej rozrywki, jaką zapewniało obserwowanie kolejnych nieszczęśników odprawianych z niczym: „za każdym razem zebrany tłum głośnym okrzykiem obwieszczał «Mamy cię, bratku!»”.

Niezależnie od tego, czy na Bedford Street, czy na Berners Street, kawał zrobiono publicznie, ku uciesze gawiedzi; nie dla jakiegoś określonego grona osób, które same dokonały określonego wyboru, jak przy zakupie książki lub gazety czy wyjściu do teatru, lecz dla tłumu przypadkowych przechodniów. Sprawca zamieszania, czy był to Hook, czy ów anonimowy, surowy dostojnik kościelny, postrzegał ulice Londynu nie tylko jako miejsce, przez które przechodziło się w drodze z jednego budynku do drugiego, ale jako miejsce, w którym

warto być. Dwa miesiące później w epilogu pewnej sztuki wystawianej w teatrze Lyceum wspomniano o „psikusie”, który „wywołał szeroki uśmiech Londynu” dla samej przyjemności zapewnienia „gapiącemu się pospólstwu rozrywki”. Ten figiel miał sprawić radość nie jego sprawcom, ale uczestnikom: tym, którzy przebywali na ulicy<sup>5</sup>.

W XIX wieku londyńskie ulice pod wieloma względami były tymi samymi ulicami, po których chodzimy dzisiaj. W tamtych czasach jednak nie tylko wyglądały inaczej, lecz ich przeznaczenie było odmienne niż dziś; inaczej z nich korzystano. I właśnie ten sposób ich użytkowania trzeba tutaj odtworzyć.

## 1. KTO RANO WSTAJE

Jest wpół do trzeciej nad ranem. To jeszcze noc, ale i „jutro”. O tej porze wokół targowiska w Covent Garden w centrum Londynu ulice tętnią życiem. Ustawiają się na nich długie kolejki wozów i furgonów oraz ręcznych wózków straganiarskich. Światła palą się „w wyższych oknach szynków – nie u lokatorów, którzy udali się na spoczynek, ale u przebudzonych już właścicieli, szykujących się [...] na nowy dzień [...]. Jezdnia jest już zablokowana, a boczne uliczki szybko się zapełniają”<sup>1</sup>.

Do świtu drogi prowadzące do Londynu były już zazwyczaj zapełnione wozami konnymi i ręcznymi wózkami pełnymi towarów oraz długimi kolumnami mężczyzn i kobiet (głównie kobiet), wlokących się po Piccadilly obok Green Park w kierunku Covent Garden, z ciężkimi koszami owoców na głowach, maszerujących z ogrodów warzywnych w leżącym kilka kilometrów dalej Fulham. Więcej ludzi napływało jednak do Covent Garden od południa, z warzywników tworzących pas po południowo-zachodniej stronie Tamizy<sup>2</sup>.

Wśród tych dostawców i sprzedawców płodów rolnych krążyli znacznie liczniejsi od nich ludzie, którzy zarabiali na życie na targowiskach i wokół nich. Pojawiali się obnośni sprzedawcy kawy, dźwigający na plecach nosidła z ciężkimi bańkami pełnymi tego napoju, zaopatrzeni u dołu w mały ruszt na węgiel drzewny, gdzie palił się już ogień migoczący w rzednących ciemnościach. Następnie „przejechała z turkotem lekka dwukółka rzeźnika [...] z ludźmi przycupniętymi na dnie wozu, za woźnicą [...] drzemiącymi w czasie jazdy”, a za nimi „jakiś wysoki i krzepki woźnica piwowara [...] (gdyż ci ludzie są pośród pierwszych na ulicy), w swojej brudnej, burej, kurtce

**36** z impregnowanego płótna żeglarskiego, czerwonej szlafmicy i skórzanych sztylpach”<sup>3</sup>.

Te ranne ptaszki musiały się chwytać różnych sposobów, żeby wstać na długo przed świtem. Nie wymyślono jeszcze budzików (miały się pojawić dopiero w 1876 roku) i nawet zakup zwykłego zegara przekraczał ówczesne możliwości większości robotników\*. W pierwszych trzech dekadach XIX wieku po zmroku ulice miasta patrolowała straż, ubrana w długie, bure płaszcze i miękkie kapelusze, zaopatrzona w kołatki i ogłaszająca krzykiem upływ kolejnych trzydziestu minut. Za drobną opłatą ci mężczyźni zatrzymywali się przed domami stojącymi na trasie ich przemarszu, żeby obudzić tych, którzy musieli wstać o określonej godzinie. Później tę usługę przejęła policja – był to dobry sposób na dorobienie do pensji oraz wzmocnienie relacji z mieszkańcami danej dzielnicy. Konstable obchodzący swoje rewiry stukali w okna długimi kijami lub kołatkami na drzwiach, dopóki z wnętrza nie dobiegł ich okrzyk: „W porządku!” na potwierdzenie, że klient się obudził. Ci, którzy byli bardzo biedni i nie mogli sobie pozwolić na wydatek pensa lub dwóch tygodniowo, płacili około pół pensa jakiemuś równie ubogiemu robotnikowi, który budził swych znajomych, gdy wracał do domu z nocnej zmiany<sup>4</sup>.

Wśród pierwszych, którzy pojawiali się na ulicy każdego ranka, byli obnośni sprzedawcy kawy. Obecnie jedzenie poza domem jest droższe niż gotowanie w domu, ale w XIX wieku było dokładnie odwrotnie. Większość robotników mieszkała w pojedynczych pokojach, a nie w mieszkaniach czy domach. Mogli mieć dostęp do wspólnej kuchni, ale znacznie częściej gotowali na własnym piecu: zagotowanie kociołka przed pójściem do pracy, a następnie pozostawienie rozpalonego ognia, gdy nikogo nie było w domu, było kosztowne i czasochłonne, a do tego rozrzutne. Poza tym aż do ostatnich dekad XIX wieku woda stanowiła rzadkie i cenne dobro w robotniczych mieszkaniach, które nie były podłączone do wodociągów (zresztą wodę i tak zazwyczaj podciągnano tylko do kuchni znajdującej się w suterenie). Najbliższym ujęciem bieżącej wody mogła być uliczna pompa, która jednak działała tylko przez kilka godzin w tygodniu. Brak miejsca na przechowywanie jedzenia, wszechobecne robactwo i fakt,

---

\* Dlatego tak bardzo rozpowszechnione były zegary uliczne. Brak czasomierzy stanowił inspirację dla popularnego dowcipu, powtórnego przez Dickensa w jego *Samotni*: jedna z bohaterek powieści stwierdza, iż drzwi jej kuchni stoją otworem, a za najbliższym rogiem ulicy spotyka własną „kucharkę, która ocierała usta, wychodząc z pobliskiego szynku. Powiedziała, że była tam, aby sprawdzić, która godzina”.

że z powodu ceny kupowano żywność tylko w znikomych ilościach, powodowały, że nie przechowywano żadnych artykułów spożywczych, nawet herbaty. Dlatego robotnicy oczekiwali, że kupią sobie coś na śniadanie w drodze do pracy.

Jak po latach wspominał Thomas Wright, który sam za młodu pracował jako robotnik\*, gdy wstawało się po ciemku i w zimnie, miało się wrażenie, że „blask bijący od wózka z gorącą kawą jest jak gwiazda przewodnia [...]. Od zewnątrz kubek grzeje ci dłonie, a wewnątrz czyni to płyn, który dostajesz w postaci wrzątku, gdyż właściciele owych wózków wiedzą, że ich poranni klienci przedkładają tę zaletę ponad moc i słodycz”. Wózki i stragany z kawą pojawiały się przeważnie na obrzeżach miasta i w jego centrum, na przedmieściach było ich znacznie mniej. Pod koniec lat pięćdziesiątych XIX wieku pewien pamiętnikarz pisał, że w Camberwell stały „nocami w pewnych miejscach uliczne stragany dla pokrzepienia, ale ja nigdy żadnego nie widziałem”. Na głównych trasach były jednak wszechobecne, poczynszy od najprostszycy prowizorek po kramy o wyszukanej konstrukcji. Niektóre składały się z deski ułożonej na dwóch kozłach do piłowania drewna, bańki z kawą, którą podgrzewano za pomocą niewielkiego rusztu na węgiel drzewny, oraz kilku talerzy z pajdami chleba posmarowanymi masłem. Jeśli właściciel dla osłony przed wiatrem ustawił suszarkę na pranie przykrytą kocem, tym lepiej. Zdarzały się także solidniejsze konstrukcje. Dziennikarz George Augustus Sala opisywał jeden z takich straganów w Covent Garden jako „coś między namiotem cygańskim i budką stróża”\*\*. W dzielnicy Islington co noc stawiano stragan z kawą obok pubu: na ręcznym wózku przywożono ławki, stół i „wielki, błyszczący kocioł

---

\* *Thomas Wright (1839–1909) był synem kowala, który został wędrownym robotnikiem (patrz strony 176–178), a później znalazł zatrudnienie jako pracownik fizyczny w firmie inżynierskiej. Uczył się samodzielnie i w 1872 roku został jednym z pierwszych inspektorów szkolnych w kraju, co stanowiło dla niego ogromny awans w hierarchii społecznej, jeśli nie w dziedzinie zarobków. Szeroko opisywał świat ludzi pracy, z którego pochodził.*

\*\* *George Augustus Sala (1828–1895) był rzekomo synem tancmistrza, który zmarł wkrótce po jego urodzeniu, chociaż prawdopodobnie jego prawdziwym ojcem był oficer wojskowy. Sala był wychowywany przez matkę, śpiewaczkę i nauczycielkę. Początkowo pracował jako rysownik ilustracji do tanich powieści kryminalnych. Zyskał uznanie w 1851 roku esejem A Key to the Street (Klucz do ulicy), opublikowanym w tygodniku Dickensa „Household Words”, dzięki czemu został zaliczony do „młodzieńców Dickensa”. Później został znanym korespondentem zagranicznym.*



**38** cynowy z mosiężnym kranem”, podgrzewany koksem: wszystko to mieściło się w przytulnym płóciennym namiocie. W środku zapalano lampę, stół przykrywano obrusem, na który wykładano filiżanki, spodki, bochenek chleba oraz kawał ciasta i po piętnastu minutach ta przytulna budka była gotowa na przyjęcie klientów<sup>5</sup>.

To, kim byli owi klienci i o jakiej porze się zjawiali, zależało od lokalizacji i ceny. Filiżanka kawy i dwie cienkie kromki chleba posmarowane w środku masłem kosztowały pensa na West Endzie oraz w City, podczas gdy w dokach, gdzie klientela była wyłącznie robotnicza, połowę mniej. Na targowiskach najpierw zjawiali się uliczni sprzedawcy jedzenia, którzy przybywali tam mniej więcej od trzeciej nad ranem, żeby zrobić zapasy na cały dzień. Później wracający do domu robotnicy z nocnej zmiany mijali się z tymi pracującymi na zmianę dzienną. Przy straganach z kawą w dzielnicach robotniczych z reguły można było spotkać „jakiegoś cienko ubranego i delikatnie wyglądającego chłopca fabrycznego lub dziewczynkę”, którzy stali nieopodal z nadzieją w oczach. Jak wspominał Wright, „wśród ludzi pracy panowało przekonanie”, że „chłop nie zbiednieje” jeśli kupi coś ciepłego komuś, kto ma jeszcze gorzej od niego<sup>6</sup>.

Dziennikarz James Greenwood spędził noc ze straganiarzem sprzedającym kawę w Islington, przyglądając się jego klienteli\*. Stragan rozstawiono o wpół do dwunastej w nocy, właśnie wtedy, gdy zamykano pobliską gospodę. W ciągu pierwszej godziny po otwarciu zjawiało się tylko dwóch płacących klientów, dorożkarz i „nieszczęśnica” (*unfortunate*, w mowie potocznej wymawiane *unfortnight*), jak nazywano wtedy prostytutki, plus żebrak. Następnie przyszedł niewidomy chłopiec, śpiewający w pubach, w towarzystwie swego ojca, a po nim czterech kominiarzy i trzech „podchmielonych dżentelmenów”. Między wpół do drugiej a wpół do trzeciej zjawiało się sporo mężczyzn, żeby wytrzeźwieć. Następnie pojawił „się najgorszy ze wszystkich sort klientów”: ci, którzy nie mieli gdzie spać i grzali swoje kubki kawy za pół pensa nad piecykiem najdłużej, jak się dało. Inni nie mieli nawet pół pensa, ale straganiarz o miękkim sercu pozwalał im tak samo ogrzać się przy ogniu. Między wpół do trzeciej i wpół do czwartej przy straganie zatrzymały się trzy kolejne „nieszczęśnice”

---

\* James Greenwood (ok. 1830–1927) był autorem poczytnych książek dla dzieci, zanim w latach sześćdziesiątych XIX wieku zajął się dziennikarstwem śledczym. Był pierwszym lub jednym z pierwszych, którzy stosowali przebranie, aby wmieszać się między ludzi, o których pisał. Jego najśłynniejszym tekstem był reportaż z przytułku dla bezdomnych przy domu zarobkowym (patrz strony 210–211).

oraz dwaj robotnicy, którzy pytali, jak dojść do Uxbridge Road: jak twierdzili, przez trzy dni szukali pracy, ale nie poszczęściło im się i wracali do domu. Jedna z „nieszczęśnic” zaproponowała im: „łapcie się za chleb z masłem i kawę, ja stawiam”. Jak relacjonował straganiarz: „Mogę z dumą rzec, że skorzystali z tego jak uczciwe chłopcy, jedząc całkiem sporo, nie przeczę, ale nawet nie połowę, ani ćwiartkę tego”, co najwyraźniej chcieliby zjeść, po czym uprzejmie podziękowali kobiecie i odmówili przyjęcia sześciu pensów, które chciała im dać. Po nich pojawił się dorożkarz z pijanym pasażerem. Około wpół do czwartej zaczęli przychodzić poganiacze bydła, w towarzystwie psów, które zapełniły całą okolicę, „przez co zrobiło się nieprzyjemnie”, jak stwierdził straganiarz, ale wiedział, że gdyby się poskarżył, wyróciliby do góry nogami jego prowizoryczny kramik, pozbawiając go środków utrzymania: „Jestem wdzięczny za to, że dotrzymuję im towarzystwa tylko w dwa poranki w tygodniu”. Od tamtego momentu było więcej prostytutek aż do mniej więcej piątej nad ranem, gdy nadszli robotnicy idący do pracy na dzienną zmianę. Na takich klientach straganiarz zarabiał około trzydziestu funtów rocznie, pracując po osiem–dziewięć godzin na dobę, sześć dni w tygodniu, 52 tygodnie w roku: były to przeciętne zarobki ulicznego handlarza<sup>7</sup>.

Mniej więcej godzinę po robotnikach w drogę do pracy wyruszały kanceliści. Każdego ranka ich szeroki czarny strumień płynął od przedmieść aż do samego serca City, a wieczorem w przeciwną stronę, rozchodząc się następnie do swych niezliczonych miejsc zamieszkania. W ten sposób setki tysięcy ludzi wędrowały jednostajnym tempem z domu do pracy i z powrotem. „Urzednicy bowiem zamieszkali w Somers, Camden, Islington czy Pentonville [...] gromadnie ukazują się w City albo skręcają w stronę [ulicy] Chancery Lane oraz Inns of Court. Panowie w średnim wieku [...] kroczą powoli [...]. Znając z widzenia wszystkich napotykanych po drodze przechodniów, od lat dwudziestu bowiem widują ich co dzień (z wyjątkiem niedziel), z nikim nie zamieniają słowa”. Tak to opisywał młody dziennikarz Charles Dickens<sup>8</sup>.

Ci kanceliści w średnim wieku wyglądali poważnie w swoich białych kołnierzykach i czarnych surdutach, chociaż te pierwsze często były pożółkłe ze starości, a te drugie z czasem przybrały barwę rdzawobrazową. Kancelista Reginald Wilfer z *Naszego wspólnego przyjaciela* żywił skrywaną ambicję, aby móc pozwolić sobie za jednym zamachem kupić całkiem nowe ubranie, od stóp do głowy. W tym pochodzie szli także młodszy kanceliści, będący jeszcze kawalerami, „dziarscy młodzieńcy, którzy kupują rękawiczki w kolorze zielonego groszku,